

opusdei.org

Początki w Yauyos. Świadectwo Bpa Pelach

2 października, w rocznicę założenia Opus Dei, nowa Prałatura została ustanowiona podczas uroczystej Mszy...

16-04-2007

1. października byliśmy w Yauyos i następnego dnia, w rocznicę założenia Opus Dei, nowa Prałatura została ustanowiona podczas uroczystej Mszy, najbardziej uroczystej, na jaką nas było stać.

Msza odbyła się w kościele w Yauyos, która przy tej okazji zamieniła się w Katedrę tego miasta, które liczyło ledwie 1400 osób.

Ks. Ignacio dokonał dystrybucji księży: dwóch zostało w Yauyos, a trzech pojechało do prowincji Huarochirí, aby towarzyszyć tam dwóm księżom peruwiańskim i jednemu amerykańskiemu, którzy pracowali już w głównych parafiach tej prowincji. Od samego początku żaden ksiądz nie mógł zostać sam.

Tak rozpoczęliśmy opiekę duszpasterską nad ludźmi, którzy zamieszkiwali ten obszar kościelny, zaniedbany przez 20 lat we wszystkich możliwych aspektach. Ks. Ignacio stał się pierwszym biskupem i zaczął odwiedzać większość miejscowości.

Dowiedzieliśmy się na przykład, że ostatnim biskupem, który odwiedził region na północny-zachód od

Yauyos był Św. Toribio z Mogrovejo, który przybył do Huanec na Sobór w Limense, w XVI w. Ja pojechałem zająć się regionem Lanca i Langaico na północ od Yauyos, gdzie nie było żadnego księdza od 25 lat. Spędziłem miesiąc na wysokości 4700 m, oddając się wszystkiemu, czemu mogłem. Ludzie uważali się za katolików, ale do moich zadań należało udzielanie ślubów dziadkom, udzielanie chrztów i ślubów ich dzieciom oraz chrzczenie wnuków.

Po roku przemierzania regionu i niesienia pomocy rozlicznym wioskom, przybyła do nas druga grupa, składająca się z 6 księży ze Stowarzyszenia Kapłańskiego Świętego Krzyża. Co za radość i jaki głęboki oddech!

I nadszedł moment kupowania koni i mułów, bo wszyscy odbywaliśmy nieustanne wędrówki do

miejscowości należących do parafii, odległych nawet o kilka godzin. Ks. Ignacio otrzymał czarnego, silnego konia, zwanego "Moro". Mi trafił się koń w kolorze cynamonu -

"Cynamon" był piękny i bardzo się przysłużył. Ojciec Manuel Lema wybrał muła białego jak promień księżyca, zwanego "Gringa". Dla Ojca Feliciano był inny muł, "Mulana", bardzo szlachetny i łagodny. Reszta kupiła konie, każdy według uznania.

Na szczęście na pierwszym spotkaniu, jakie mieliśmy po ustanowieniu Prałatury, Ks. Ignacio powiedział nam, co uważam za genialne, że co wieczór, po rachunku sumienia, mamy notować wszystkie nasze prace duszpasterskie z tego dnia: chrzty, śluby, kazania, spowiedzi, komunie, namaszczenia chorych i godziny spędzone na koniu, abyśmy po upływie lat mogli poinformować o wszystkim Założyciela Opus Dei, który otrzymał

od Stolicy Świętej zadanie opieki nad tym regionem.

Kiedy w ciągu 5 lat przyłączyła się do Prałatury prowincja Canete, podjęliśmy się zliczenia wszystkich naszych rachunków, a wyniki zostały opublikowane w wywiadzie dla hiszpańskiego czasopisma *Mundo Cristiano*. Zebrało się tego bardzo dużo we wszystkich kategoriach. Pamiętam jedynie, że na koniu przejechałem przez ten czas 8 tys. godzin, które odpowiadały ponad 40 tys. kilometrów, co oznacza, że wystarczało mi to z zapasem na okrążenie dookoła Ziemi.

Wiele z podróży dokonaliśmy razem z ks. Ignacio. On na swoim "Moro", a ja na moim "Cynamonie". Jechałem towarzysząc mu w podróżach duszpasterskich albo też dla podniesienia na duchu księży.

Pamiętam, że jednego roku, w Wigilię Bożego Narodzenia,

przygotowywałem konia, aby wyruszyć w kierunku wiosek w Nor-Yauyos. Ks. Ignacio zlitował się nade mną, widząc, że będę spędzał Boże Narodzenie sam, i powiedział mi podczas kolacji:

- A jeśli będę ci towarzyszył?

- Jak chcesz. Trzeba zająć się niektórymi wioskami. Będzie potrzeba kilku dni. Jeśli chcesz, przygotuję ci konia, bo musimy wyruszyć wcześniej, o drugiej nad ranem.

- Sam przygotuje konia. Ty przygotuj jęczmień dla koni i w ten sposób będą miały więcej jedzenia niż potrzebują na drogę.

O drugiej w nocy, w całkowitych ciemnościach, wyruszyliśmy z Yauyos. Po 8 godzinach ciągłego podchodzenia do góry dotarliśmy do Huacha, szczytu o wysokości 5300 m.

Daliśmy koniom jeść, podczas kiedy sami rozpoczęliśmy śniadanie.

Po dwóch godzinach schodzenia dotarliśmy do regionu Carania. Tam uprzedziliśmy ludzi, że 27 grudnia, wracając, odprawimy im Mszę na Boże Narodzenie. Schodziliśmy dalej godzinę i dotarliśmy do wioski Pinos. Uprzedziliśmy pierwszą napotkaną osobę, że 26 grudnia wieczorem będziemy mieli Boże Narodzenie. Po jeszcze dwóch godzinach przybyliśmy do regionu Alis, który leży na wysokości 3100 m n.p.m.

Powiedzieliśmy im, że 25 grudnia w południe odprawimy im Mszę Bożonarodzeniową. Byli bardzo szczęśliwi. Poprosiliśmy ich, żeby poinformowali wioskę Tomas, która znajduje się trochę wyżej w tym samym wąwozie, że tam będą mieli Mszę tego samego dnia, ale w nocy. Podali nam zimny napój - "Inco Colę"

- i ruszyliśmy dalej, stromym skrótem, do Yauricocha.

Yauricocha to zagłębienie górnicze z ok. 2 tys. mieszkańców, położone na wysokości 4700 m n.p.m. Dotarcie tam zajęło nam 5 godzin. Padał śnieg, było naprawdę zimno.

Zostawiliśmy konie u jednego z górników, aby mogły być dobrze nakarmione. Poszliśmy do kościoła, w którym tłoczyło się od ludzi, modlących się i śpiewających kolędy. Obaj zaczęliśmy spowiadać. Trwało to wiele godzin, aż do dwunastej.

Ks. Ignacio odprawiał Mszę na Boże Narodzenie. Ja udzieliłem chrztu mnóstwu dzieci, wszystkich o ciemnej karnacji, "osmalonych" przez zimno, wiatr i słońce, panujące na tej wysokości. Skończyliśmy równocześnie. Wówczas, kiedy staliśmy przed kościołem i przyjmowaliśmy życzenia na Boże Narodzenie, podali nam kubek

czekolady razem z kilkoma słodkimi ciastami, które wprowadziły nas w zachwyt.

Dalej padał śnieg. Odwiązaliśmy konie i wyszliśmy w kierunku Laraos, życząc wszystkim Wesołych Świąt przy pożegnaniu.

Była to ciemna noc. Ścieżka cały czas pięła się do góry, droga stawała się mocno skalista. Potem już tylko schodziliśmy doliną, aż do Laraos. Przed dotarciem na miejsce, Moro się zbuntował, myśląc pewnie "Dalej nie pójdę!". I padł na ziemię.

Ks. Ignacio jechał na nim, ale nie spadł, raczej wygodnie zszedł z konia. Ja szybko zszedłem z "Cynamona", mając trochę strachu. Podnieśliśmy konia i patrzyliśmy z latarką, czy miał za mocno zapięte siodło, czy też działo się coś innego.

Wydawało nam się, że wszystko było w porządku i wróciliśmy na konie.

Jednak po kilku krokach Moro znów padł plackiem. Wszystko dalej wydawało się w porządku. Prowadząc go za lejce, pozwoliliśmy mu iść samemu kawałek i szedł normalnie. Ks. Ignacio na nowo go dosiadł i po raz kolejny Moro padł na ziemię. Co u licha z tym koniem!

Dosiadać konia na tej wysokości było dosyć męczące. Więc ks. Ignacio, zniecierpliwiony całą sprawą, stanął przed koniem i mocno go trzymając, dał mu trzy lub cztery mocne klapsy, jako energiczne ostrzeżenie, i dosiedliśmy z powrotem koni. Szliśmy dalej, już bez przeszkód. Moro zrozumiał najwyraźniej, że "kto rządzi, rządzi". Ks. Ignacio uważał, że koniowi było zimno i że klapsy pozwoliły mu się rozgrzać. Tak skończył się problem. Mam ochotę dodać, że, ponieważ on był lekarzem, "kto się zna, zna się".

Kiedy znów zaczęliśmy schodzenie w dół, ks. Ignacio zdał sobie sprawę, że od jakiegoś czasu idziemy co raz bardziej po płaskim, i powiedział do mnie, podnosząc głos:

- Enrique! Nie wybraliśmy drogi w dół, tu jest płasko. Czy to nie jest kanał melioracyjny?

Zszedłem z konia i zacząłem sprawdzać teren - po omacku, bo nic nie było widać. Zdałem sobie sprawę, że rzeczywiście weszliśmy do wyschniętego kanału.

To ja prowadziłem, i kiedy przechodziliśmy przez rozstaj dróg, koń, zmęczony ciągłym schodzeniem, wybrał drogę po płaskim.

- I co robimy teraz?

- Jeśli wrócimy, zgubimy się, bo nie wiemy, gdzie jest droga.

- A więc?

- Zobacz, Ignacio, konie widzą w nocy, chociaż jest wtedy ciemno. Skręcamy teraz w prawo, i jeśli konie zobaczą, że można tędy zejść, dojdziemy do koryta doliny, a tam jest droga.

- Spróbujmy. Choć kto wie, czy nie tu skończą się nasze święta...

- Musimy trzymać się mocno siodeł, żeby nie spaść z konia.

- I modlić się do naszych Aniołów Stróżów, na wszelki wypadek! - powiedział Ks. Ignacio.

Jak powiedzieliśmy, tak też uczyniliśmy. Pociągnąłem za prawe lejce i "Cynamon" patrzył w dół dosyć długo, nie mogąc się zdecydować. Musiałem go zachęcić, mówiąc do niego delikatnie... i ruszył w dół, najpierw dał tylko jeden niezdecydowany krok... A potem ruszyliśmy na łeb, na szyję. Boże Święty, co to była za stromizna!

Ledwo utrzymaliśmy się w siodle. W dół i w dół... i wreszcie dotarliśmy na dół doliny, gdzie rzeczywiście była droga. Konie się zatrzymały i długo dochodziły do siebie, zasapane po szaleńczej jeździe.

A my zaczęliśmy się głośno cieszyć - nasz śmiech słychać pewnie było nawet w Niebie. Bez wątpienia ks. Ignacio, który jest już tam na górze, wciąż jeszcze pamięta ową przygodę, cieszy się nią i dalej dziękuje Aniołom Stróżom, którzy zeszli z nami tamtej ciemnej nocy po zboczu, z wyschniętego kanału.